

[Anna Kamińska]

Anna Kamińska nie żyje i to mi się nie zgadza. Jak bowiem mam przystać na nieodwołalną nieobecność kogoś wpisanego w mój życiorys, i to w jego części najważniejszej, bo młodej? To pomyliła się sama rzeczywistość. Tu trzeba nie zgodzić się z samą rzeczywistością. Jak Voltaire, który protestował przeciw trzęsieniu ziemi w Lizbonie.

Prawda, Kamińska przez ostatnie czterdzieści lat nie mieszkała w Lublinie. Ale jej w tym mieście nieobecność nieustannie była „tymczasowa”. Wciąż byłem zdania, że „naprawdę” ci wszyscy, kiedyś tak ze sobą zżyci, Pleśniarowicz, Sikirycki, Kałużyński, Hartwiżanka, Kamińska (troje z nich już nie żyje), znowu się znajdują tutaj, wśród swoich „spraw”, w „swoim” gronie, a te wszystkie Łódzie, Warszawy i Rzeszowy to tylko fragmentaryczne, choć paradoksalnością losu przedłużone epizody.

Jak to było? Tak, że po wyzwoleniu w Lublinie znajdowała się (nie znalazła, to byli autochtoni) grupka już wymienionych młodych piszących. W sytuacji dość szczególnej, bo mimo niemal automatycznego zintegrowania się wówczas ludzi pióra, dość wyizolowanej. Dla literatów przybyłych z dywizją kościuszkowską byliśmy „formalistami”, „parnasistami”, czy wprost „eskapistami”, skoro sami podejmowali przede wszystkim tematykę społeczną i patriotyczną, dla nas oni byli schematystami, nie odgraniczającymi kwestii ściśle literackich od propagandowej funkcji poezji. Lubelskich literatów starszego pokolenia-mimo że do nich należało pierwszeństwo jako wcześniejszych gospodarzy placu-uważaliśmy za anachronizm, obcy stylistycznym nowościom ostatnich lat przedwojennych i aktualnym siłą rzeczy także zaraz po wojnie.

Tak więc grupka młodych, mimo tutejszego pochodzenia, stanowiła jakby diasporę, rządząca się swoimi prawami i nastawioną na zdobycie własnej pozycji w ówczesnym życiu literackim. Jak tę pozycję można było zdobyć? Drukiem. A więc zyskanie możliwości publikowania, tj. stałego miejsca, w którymś z lubelskich organów prasowych, było celem atakowanym przez nas, i właśnie Kamińska pod tym względem zaliczała się do najaktywniejszych.

Osobliwy, dziś nie spotkany klimat takiej „filareckiej” grupki. Pożyczaliśmy sobie książki, wymieniali napisane wiersze, spieraliśmy się o przyszłość ludzkości. I trwała nieustanna licytacja na orientację, na wnoszenie nowych elementów świadomości. Sensacyjki wydawnicze i czasopiśmiennicze, nowe nazwiska w wierszopisarstwie, śmieszności w dykcji Juliusza Kleinera (trochę sepleniał, co nie obniżało powagi profesora, o Irzykowskim mówiło się to bez skrepowania, a nawet Boy - nie do wiary, ale tak przekazuje świadectwo słuchaczy - wiele tracił na spotkaniach z audytorium przez piskliwość swojej wymowy) - to było w „kursie” rozmów. A nawet (Kamińska

studiowała filologię klasyczną na KUL) prawidła akcentowania enklityk w języku greckim i litera digamma występująca w epoce już nie klasycznej, ale archaicznej, do której dochodziło się na wykładach z historii tego języka, co było nie bardzo potrzebne już dla adeptów filologii, a co mówić o wolontariuszach wkuwających grekę tylko dla wzbogacenia orientacji humanistycznej. Kamieńska była w tym zajadła. Lubiła o ten jeden kroczek, o jedno przerzucenie kartki przewyższyć wiadomości swojego kolegi nawet w dziedzinie jego profesji, czyli zainteresowania.

Nic nie wyszło ze starań o zyskanie dodatku literackiego w lubelskim dzienniku („Życie Lubelskie”), nic też z zamiaru prowadzenia stałego felietonu w gazecie. Tytuł miał być „Zły to ptak” z nawiązaniem do dalszej części przysłowia: „który własne gniazdo kała”, jako że Kamieńska, bardzo uczulona na zaściankowość, pragnęła piętnować wszystko, co takiego w Lublinie się pojawiło. Ale to był drugi niefortunny związek z dziennikarstwem dla Kamieńskiej. Pierwszy zdarzył się wtedy, kiedy sama do redakcji została przyjęta. Bywa. Naczelny redaktor "Gazety Lubelskiej", Witold Giełżyński uznał właściwie już wtedy nieaktualny kanon prasy, według którego dziennik miał podawać, przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, informacje, i to informacje przydatne praktycznie (po ile dziś jaja na targu), więc Kamieńska, preferując tematy światopoglądowe i kulturalne, była ciągle pod złym redaktora spojrzeniem.

Wyzwolił ją z tego wyjazd do Warszawy. Kamieńska zyskała, Lublin stracił. (Kiedy mówiło się o ilościowym w Lublinie niedostatku twórczego środowiska, powtarzałem: oddajcie nam naszych emigrantów-tu można sypnąć plikiem znanych nazwisk-a zobaczymy, kto Kopciuszek). Pełniła funkcję kierownika działu poezji w „Nowej Kulturze”. Widocznie lepiej niż informatorki o tanich zelówkach w „Gazecie Lubelskiej”, bo dłużej. Nie liczyłem dokładnie, ale coś koło piętnastu lat. Nie zapomniała jednak o swoim mieście. Przyjeżdżała tu na spotkania autorskie, na wydarzenia ważne dla Lubelskiego Oddziału ZLP, a także jej książka „Jeden z grzechów pięknych”, zawierająca felietony krytyczno-literackie na temat poezji, wyszła w Lublinie.

Zmarła 10 maja 1986 roku w Warszawie i tam została pochowana na cmentarzu powązkowskim. Mimo że najważniejszy i udokumentowany twórczością okres jej życia przypadł na stolicę, odejście Anny Kamieńskiej z tego świata zaliczyć trzeba i do strat kultury lubelskiej. Nieraz w rozmowach i opracowaniach monograficznych jej nazwisko się tutaj pojawi. Tak będzie w naszym i swoim mieście obecna.